

## Janek Szafrński

### Rodzina babci Aleksandry...

Rodzina babci Aleksandry – de domo Bocianowskiej, córki Jadwigi i Jana – od pokoleń zamieszkiwała tereny dzisiejszej Ukrainy. Historia rodu Majerów (po kądzieli) z województwa stanisławowskiego zaczyna się na Kresach Wschodnich, a kończy już na Ziemiach Odzyskanych. Opowiem historię dynastii, która w obliczu wojny, a potem zdradzieckich ataków ukraińskich nacjonalistów, musiała zostawić wszystko, na co pracowała do pokoleń i uciekać na Zachód.

Prababcia Jadwiga Majerówna urodziła się w 1929 roku w wolnej Polsce. Jej ojciec – członek rodziny o zapomnianym imieniu, z konieczności nazwijmy go Stanisławem – był właścicielem dużego majątku. Zajmował się głównie uprawą roli – miał własny, sam na siebie zarabiający i tętniący życiem folwark pełen ochoczych rąk do pracy. Zamożna to była familia i dobrze jej się wiodło, pomimo coraz to większej liczby pogłosek o wojnie i sojuszu pomiędzy Niemcami, a Związkiem Radzieckim. Dodatkowo, życie Polaków mieszkających na Wschodzie cały czas uprzykrzali banderowcy, którzy zaczęli organizować się w bojówki i napadać polskie dworki i folwarki – takie, jak dziadka babci Oli. Powszechnie zdawano sobie sprawę z zagrożenia, lecz rodzina Majerów nie wdawała się w konflikty, pomimo iż była znana w swojej miejscowości o nazwie Warwaryńce i całym okręgu tarnopolskim. Wynikało to bowiem z faktu, że dawała pracę wielu osobom w folwarku. Szala goryczy przelała się jednak 1 września 1939 roku – ta szczególna data pozostała w sercu prababci Jadwigi do końca życia, bowiem wtedy jej ojciec, około godziny piątej nad ranem zbudził całą rodzinę i razem słuchali na swym nowoczesnym sprzęcie marki Dnipro radiowych komunikatów o atakach Niemców – czy to na Wieluń, czy na Westerplatte.

Stanisław był obeznany w sytuacji geopolitycznej w kraju, więc nie zaskoczyła go ta informacja. Twierdził, że Korpus Ochrony Pogranicza Wojska Polskiego zdoła zatrzymać Wehrmacht, który nie dotrze na zabużańskie tereny zamieszkiwane przez Polaków. Jednak, kiedy 17 września 1939 roku armia sowiecka napadła na wschodnie rubieże II Rzeczypospolitej, rozpętało się piekło. Wiedziano bowiem, że to już koniec dwudziestoletniej historii wolnej Polski i znowu zaczyna się okupacja – znów zaczyna się straszna wojna, której pożoga jeszcze tliła się w pamięci Słowian ocalałych po Wielkiej Wojnie. Ku zaskoczeniu

wielu mieszkańców Kresów, po zakończonych walkach kampanii wrześniowej sytuacja chwilowo się ustabilizowała. Folwark na nowo zarabiał, a rodzinie Majerów niczego nie brakowało.

Na terenach okupowanych przez Sowieców wiele spraw można było załatwić pieniędzmi i wódką, co umożliwiała Polakom, takim jak familia prababci Jadzi, prowadzenie lukratywnych interesów. Po dwóch latach wojennej zawieruchy, Niemcy zaatakowały ZSRR i wkroczyły na tereny wschodnie II Rzeczypospolitej Polskiej. Wtedy zaczęły się poważne problemy z Ukraińcami – zwłaszcza tymi, którzy nastawieni byli wrogo do klasy sprawującej nadzór nad dobrami ziemskimi. Ich niełatwo było przekupić, bowiem żywili ogromną nienawiść do wszystkiego, co polskie. Chrześcijaństwo i prawosławie stały się zarzewiem konfliktów nie tylko religijnych, lecz także rodzinnych, sąsiedzkich i narodowościowych.

Pewnego mroźnego grudniowego dnia, kiedy Stanisław Majer wyjechał do sąsiedniego miasta w interesach, został napadnięty przez członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i ugodzony narzędziem ostrym – prawdopodobnie nożem, czy też innym bagnetem – pomiędzy okolice wątroby i śledziony. Opadły z sił zaległ na wozie, który został zaciągnięty przez starą klacz wprost do folwarku. Zdołał dotrzeć do domu i pożegnać się z rodziną, nad rankiem dokonał już żywota. Babcia Ola opowiadała później swym wnukom, że pod łóżkiem było tyle krwi, iż powstała z niej kałuża jak z zarżniętej świni. Służąca pracująca w posiadłości rodziny nie zdołała na czas sprowadzić lekarza – dotarł chwilę po śmierci Stanisława. Rodzina była wstrząśnięta, bowiem wszystkie te wydarzenia rozegrały się w Wigilię Bożego Narodzenia – 24 grudnia 1943 roku. Reszta musiała sobie radzić bez głowy domu. Pozostał im tylko brat Jadwigi – Mieczysław Majer, który został rozstrzelany w następną Wigilię Bożego Narodzenia 24 grudnia 1944 roku.

Familia musiała radzić sobie bez folwarku, który został spalony w wyniku walk niemiecko-radzieckich na Podolu. Kiedy wojna się zakończyła, drugi brat prababci Jadzi chciał odbudować włości, już nawet zaczął remonty i usiłował zbierać ludzi do pracy na polach. Jednak pewnego dnia do bram posiadłości w Warwaryńcach zawitało wojsko radzieckie z listem, który nakazywał eksmisję. Majerowie musieli w kilka godzin wynieść się z dworku z dorobkiem całego życia kilku pokoleń, jaki zdołali upchać w jedną torbę. Armia nie pozwalała na zabieranie niczego drogiego, lecz przezorna Jadwiga już wcześniej zaczęła zaszywanie kosztowności w suknie i ubrania. Część wyniesiono na drabiniasty wóz przeznaczony do podróży. Oczywiście pozwolenie na zabranie dodatkowych przedmiotów

otrzymano w ramach przekupienia członków armii. I tak rodzina została przetransportowana do pobliskiego Tarnopola i wsadzona w pociąg.

Sytuacja była dramatyczna - bydlęce wagony, mało miejsca, głód i żadnych warunków sanitarnych. Jak wynika z przekazów, urodzonej już na Ziemiach Odzyskanych córki Jadwigi – Aleksandry, najgorsza sytuacja miała miejsce na granicy ZSRR i nowej Polski. Celnicy chcieli zabrać sztabki złota poukrywane w torbach podróżnych. Wtedy to bezradny brat Jadwigi, wiedząc że te kosztowności miały zapewnić dobry start jego rodzinie, podczas próby przekupienia straży granicznej został wyprowadzony z pociągu i na oczach rodziny rozstrzelany bez mrugnięcia okiem z karabinu maszynowego. I tak prababcia wraz z matką, bez niczego przedostały się przez granicę i dalej na Zachód. Dotarły one najpierw do Nowej Soli w województwie lubuskim, gdzie po ślubie Jadwigi z wcześniej poznanym Janem Bocianowskim przenieśli się do Dzierżoniowa, a później osiedlili się w Piławie Dolnej.

Podróż z Tarnopola do Nowej Soli trwała około trzech tygodni. Wynikało to z faktu, iż pociąg cały czas się zatrzymywał. Doprowadzało to do ogromnych opóźnień. Dziadek taty opowiadał, że kiedy jechali pociągiem, panował tam ogromny głód. Lecz pewnego dnia podstawiony został wagon z sucharami. Pokarm ten był pokryty zielonkawo-szarą pleśnią i w normalnych warunkach nie nadawałyby się do spożycia, lecz wszyscy jedli to, co było. Po dotarciu do Piławy, dziadek mógł wybrać sobie nowy dom, co niezwłocznie uczynił. Sytuacja była o tyle niespotykana, że w domu tym mieszkali jeszcze niemieccy mieszkańcy, więc przez kilka tygodni Niemcy mieszkali razem z Polakami. Z opowiadań wynika, że nie było pomiędzy nimi „złej krwi”. Problem stanowiła tylko bariera językowa. Pewnego razu, dziadek wraz z niemieckim lokatorem, wykonawszy szereg prac naprawczych na wspólnym jeszcze podwórku, zostali zaproszeni przez żonę rzeczonoego Niemca na rodzinny obiad. Polacy byli zdziwieni smakiem nieznaney potrawy, a kiedy próbowali dowiedzieć się, co zostało przyrządzone usłyszeli szereg onomatopeicznych wskazówek, że był to kot. Dla Niemców było to normalne, że przyrządza się kota, lecz w polskiej tradycji nie było takich potraw. Pomimo tego, nikt nie żywił do siebie urazy. Kilka dni później niemieccy osadnicy odjechali za granicę Nysy Łużyckiej i Odry.

Warto zaznaczyć, że na Ziemiach Odzyskanych było dużo mieszkańców pochodzenia żydowskiego zajmujących się handlem, co doprowadzało do kłótni pomiędzy nimi, a Polakami. Akurat był to czas marnych żniw powojennych. Pewien żyd, mieszkający

nieopodal, chciał coś sprzedać sąsiadowi babci Oli, lecz ten odmówił i pokłócił się z nim. Oburzony wyznawca Mojżesza poszedł poskarżyć się na milicję i więcej tego sąsiada nikt nie widział. Władze w tamtym czasie bardzo dobrze żyły ze starozakonnymi.

„Czas leczy rany” – i tak też było w tym przypadku. Życie toczyło się dalej i aklimatyzacja w nowej miejscowości przebiegała dość stabilnie, pomimo iż nikt z rodziny nie zapisał się do partii socjalistyczno-robotniczej, w ramach za jakiegokolwiek korzyści z tego płynące. Małżonka Jana Bocianowskiego zajmowała się domem i swoją matką, która do końca życia tęskniła za mężem zamordowanym z rąk banderowców i dawnym życiem na wschodzie. Sytuacja w kraju nie była najlepsza i większość z wypracowanych zysków trzeba było oddawać komunistom. Pradziadek do końca życia zajmował się uprawą roli. Rozszerzył swoje gospodarstwo do siedmiu hektarów – co jak na tamte czasy było całkiem imponującym wynikiem. Ustatkowanej rodzinie urodziło się pierwsze dziecko – Lech Bocianowski, a później Jerzy, Aleksandra i Jolanta. Pomimo trudnych warunków życia w powojennej Polsce wszyscy zdobyli wykształcenie – Lech uzyskał tytuł lekarza weterynarii i osiadł we Wrocławiu. Aleksandra została księgową, a później poznała swojego przyszłego męża – Jana Sobańskiego, z którym doczekała się trójki potomstwa. Jolanta zaś zdobyła wykształcenie medyczne i osiadła w dolnośląskiej Złotoryi.

Życie babci Oli na początku nie było proste. Po ślubie, wraz z dziadkiem, który był inżynierem w dzierzoniowskim zakładzie produkującym radia Diora, przenieśli się do rodzinnego domu w Piławie Dolnej. Dziadek Jan często wyjeżdżał służbowo za granicę. Opowiadał wnukom o swoich pobytach w Szwajcarii czy Republice Federalnej Niemiec. Była to rzadkość, ponieważ w czasach komunistycznych nieliczni mogli przekraczać „Żelazną Kurtynę”. Pomimo tego, że dziadek mógł wiele razy wyrwać się z komunistycznego państwa i pozostać na Zachodzie, to nigdy nie zdecydował się zostawić rodziny. Babcia pracowała w pobliskim urzędzie. Nie było jej łatwo, gdyż było to środowisko partyjne. Ciężko czuć się dobrze w środowisku wobec którego jest się w opozycji. Przez to właśnie musiała często zostawać po godzinach ustalonej pracy i pracować więcej niż inni. Nie było oczywiście mowy o dodatkowym wynagrodzeniu za ponoszony trud. W czasach rządów Gierka sytuacja się mocno ustabilizowała. Wtedy to, w 1978 roku przyszedł na świat pierwszy syn małżeństwa Jana i Aleksandry – Paweł Sobański. Kiedy babcia chciała go później posłać do pierwszej komunii świętej spotkała się z dezaprobatą w urzędzie, w którym pracowała.

W 1981 roku, w celach obrony PRL-u przed najeźdźcą, generał Wojciech Jaruzelski zdecydował o wprowadzeniu stanu wojennego na terenie całego kraju. Tato miał wtedy trzy latka. Szalejąca inflacja, wzrosty cen oraz pogorszenie się jakości życia w Polsce Ludowej znów wprowadziły rodzinę w ciężki okres. Znów coraz częściej wspomniano utracone majątki pozostawione na Wschodzie oraz dawne życie.

Historia zatoczyła koło. Kiedy sytuacja uległa poprawie, w 1988 roku na świat przyszli Agata i Piotr Sobańscy. W Latach dziewięćdziesiątych, po upadku komunizmu w Polsce, praca dziadków była normalnie opłacana, a komfort życia się podniósł. Trójka potomków Aleksandry i Jana zdobyła wykształcenie wyższe na wrocławskich uczelniach. Jedno z nich uzyskało tytuł doktora. Lekki skok w teraźniejszość nie może przysłonić nam historii, ponieważ nawet w dzisiejszych czasach nasza rodzina często wspomina dawne czasy i odtwarza opowiadania moich pradziadków rozprawiając nad ich ciężką historią.

W obliczu dzisiejszej wojny na Ukrainie, gdzie ludzie – podobnie jak niegdyś Polacy – muszą uciekać na Zachód zostawiając swoje majątki, możemy uświadomić sobie, jaki jest to dramat. Historia kołem się toczy, gdyż dziś to my przyjmujemy Ukraińców z otwartymi ramionami na ziemię, na które oni niegdyś wygnali naszych przodków. Moja prababcia Jadwiga do końca życia nie potrafiła zapomnieć, co Ukraińcy, którzy byli jej sąsiadami, z którymi chodziła do szkoły, zrobili jej ojcu i bratu. Potomkom osób skrzywdzonych przez ukraińskich nacjonalistów trudno jest zapomnieć o ciężkich, często krwawych dziejach naszych rodzin...

Całość informacji, jakie zawarłem w pracy zostały przekazane przez pośredniego członka wydarzeń ukazanych w pracy – córkę Jadwigi Majerówniej – Aleksandrę Sobańską oraz jej syna – Pawła Sobańskiego na podstawie opowiadań przekazywanych w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie.